

— Odgłosy z Paryża nie dochodzą tam, jeżeli nie są zbyt głośne... Lecz to, co pan tutaj wyprowadza, rozjeżdża się po całym świecie aż po dalekie bieguny... I nagle zjawia się tutaj Karol Turner, by dowiedzieć się, kto i w jakim celu przybrał sobie jego nazwisko?

— Tak, to prawda... Byłoby to niezwykle śmieszne...

— Śmieszne? Pan uważa to za śmieszne? A co by pan wtedy uczynił?

— Nurka, ma się rozumieć. I panu nic innego nie pozostawałoby do zrobienia.

Mimo całego panowania nad sobą i mimo, że czuł i wiedział, iż jest obserwowany, Maksym Duret nie mógł powstrzymać wyrazu zmieszania na swej twarzy. Zachował ten sam spokojny i lodowaty ton, zmienił za to temat.

— Otrzymałem pański raport o śledzeniu panny Dubois — rzekł. — Czy jest pan pewny ludzi, którzy to robią?

— Tak, o ile można być pewnym szpicli — odparł Panajon — Zwróciłem się do jednego z najlepszych biur... Przychodził do mnie sam dyrektor biura... Jest to opryszek niepośledniej miary... Zdaje mi się, że dobrze płacąc, będziemy mogli być pewnymi... Ach! a propos! Wynosi to sto franków dziennie... zapłaciłem za tydzień naprzód... Winien więc mi jest pan siedemset franków.

— Pańska agencja należy do dość kosztownych!

— Uważa pan, że to jest drogo?

Dla Panajona wszystko było tanie.

— Dosyć! — przerwał Duret. — Mniejsza z tem! Główną rzeczą jest, abyśmy mieli dobrych agentów.

— Dyrektor zapewniał mnie, że wybrał najzręczniejszych ludzi. Jest ich dwóch, jeden ciągle na ulicy, by śledzić pannę Dubois, a drugi zamieszkał na strychu koło jej pokoiku... Pierwszy ciągle nad nią czuwa i tylko od czasu do czasu idzie do winiarza na przeciwko, nie tracąc ani na chwilę z oka domu, gdzie znajduje się pralnia... Drugi mieszka ra jednym z nią korytarzu i nie rusza się z niego, obserwując przez uchylone drzwi jej pokój. Żałuję tych obu ludzi, zwłaszcza tego ostatniego, który za jakie pięć franków dziennie, musi w ten sposób ogrywać prawdziwie więzienną karę... Lepiejby zrobił, gdyby się wziął do kradzieży, zamiast trudnić się podobnymi rzeczami!

— Przejdźmy do czego innego — przerwał Duret. — Czy pan dawał już z rowego mieszkania bieliznę do prania?

— Nie wiem — odrzekł Panajon zdziwiony podobnym zapytaniem. — Euzebiusz tem się zajmuje...

— Euzebiusz?...

— Mój służący...

— Ach! taki...

— Ale zaraz... Zdaje mi się... Tak, tak, rzeczywiście! Euzebiusz dawał koszule... Przypominam sobie, że pralnia znajduje się przy ulicy de Rocher...

— A czy już panu odniesiono te koszule?

— Nie. Przychodzili tylko po nie.

— Kto przychodził?

— Jakaś młoda praczka.

— Widział ją pan?

— Owszem.

— Jak wyglądała?

— Jakto, jak wyglądała?

— Brzydka, czy ładna? Młoda zupełnie, czy też starsza? Blondynka? brunetka?

— Aha! Zaraz sobie przypomnę... Tak... tak... Rzeczywiście, bardzo przystojna! Uroczą brunetką!

— Na ile lat wygląda? Piętnaście? Dwadzieścia?

— Na więcej, niż piętnaście, a mniej niż dwadzieścia.

— Bardzo dobrze! Wie pan, co ma pan teraz zrobić?

— Nie...

— Postara się pan, by ta mała przychodziła do pana jak najczęściej zabierać bieliznę i odnosić czystą... I tak się pan urządzi, by przyjmować ją samemu... Rozumie pan?...

— Rozumiem.

— I będzie pan eleganckim?

— O, tak!

— Dobrze, tylko zrozumiejmy się! — mówił dalej Maksym Duret. — Mówię, elegancki! Nic więcej! Niech ona w dalszym ciągu pracuje skromnie w swej pralni, tylko w danej chwili

niech będzie gotowa rzucić tę pralnię dla pana... Pojmuje pan?

— Doskonale.

— Innymi słowy, niech pan się stara o nią, nie posuwając się jednak za daleko... Niech pan tylko upewni się, aby w chwili, gdy pan otworzy swe ramiona, ona w nie wpadła...

— W takim razie skończę na tem, że je jej otworzę.

— Tak... lecz wtedy, kiedy ja panu powiem... Nie przedtem...

— Zgoda... Pan tylko kazał mi się postarzyć i przypłacić sobie bokobrody, z którymi mi bardzo niewygodnie... To także nie ułatwia mi zadania i zwycięstwa, jakiego się pan po mnie spodziewa...

— By podobać się kobietom, nie potrzeba być koniecznym młodym i pięknym...

— Zwłaszcza, jeżeli jest się hojnym...

— Będzie pan nim...

— Bardzo dobrze. Jesteśmy w zgodzie!

— Mogę liczyć na pana?

— Bez wątpienia.

— Doskonale! Jeszcze raz przepraszam panów, lecz wiadomo, że sprawy są sprawami. Maksym Duret mówił teraz głośniej.

— Truś ten jest na dobrej drodze? — zapytał baron de Lagunan.

— Na bardzo dobrej — odpowiedział Panajon.

— Panie Turner — zwrócił się do niego Julian Maixent — pozwól pan, że przedstawię panu jednego ze swych znajomych, który również jest wybitnym przemysłowcem... pan J. Smith z Chicago...

— *Hallo! sir!* — odezwał się Amerykanin. — Zdaje mi się, że to pan trafia bez celowania w punkt nie większy od dolara? *Hallo!* Jest to niezwykle celność! Z przyjemnością wypiłbym z panem szampa!

— Z wielką przyjemnością — odrzekł Panajon. — Po pojedynku śniadanie... Był pan obecnym przy jednym mam nadzieję, że pan zechce być i na drugim?

— *Well!* Przyjmuję! Ale pod warunkiem, że obiad zje pan razem ze mną!

— Bardzo chętnie! Baronie — mówił dalej złodziej, zwracając się do Raula de Lagunan — jedziemy teraz do Cosmopolitan Hotel. Należy pan do nas?

— Se decznie dziękuję, drogi panie, lecz jest to niemożliwe! Jestem zbyt ściśle związany z Cartalegue'ami.

— A pan, mój drogi Maksymie?

Panajon patrzył na Maksyma Dureta.

— Również niemożliwe i z tych samych powodów — odparł filantrop.

Panajon wahał się przez chwilę. Zaprosił wszystkich z wyjątkiem Juliana Maixenta. Nie było to grzeczne. Amerykanin jednak miał wygląd gościa, który dlatego tylko znajduje się przy stole, by nie było fatalnej trzynoski.

— Ach! — zdecydował się złodziej. — Nie upokarzajmy tego biedaka!

I dodał głośno:

— Panie Maixent, przynajmniej pana będziemy mieli z sobą!

— Dziękuję uprzejmie, lecz mam przyjaciela, który oczekuje już mnie ze śniadaniem...

— Trudna rada!... Zawiódł nas i doktor... Wypadła mu jakaś operacja... Będzie więc nas tylko czterech: pan de Beandriowit, pan Garrigue, pan Smith i ja... *All right!* Zmieścimy się w jednym samochodzie.

— Nie mogę panom towarzyszyć do Cosmopolitan Hotel — odezwał się Raul de Lagunan. — Lecz może spotkalibyśmy się po śniadaniu u „Neurasteników“?

— Zgoda! — odparł Panajon.

Wszyscy skierowali się do wyjścia i znaleźli się na ulicy Parmentier, gdzie oczekiwali na nich pojazdy. Złodziej rozdawał uściśnienia dłoni, potem siadł z gośćmi do samochodu, w którym przy szoferze znajdował się w liberji Tefard. Samochód zatrzymał i zaraz ruszył.

Na zakęcie przy ulicy Villiers samochód zwolnił biegu. Ciekawi, wychodzący z welodromu zatrzymali się, poznając bohatera dnia. Uniosły się w górę kapelusze i rozległo się kilka okrzyków. Panajon kłaniał się wszystkim z godnością. Nie posiadał się z radości.

— Co za dzień! — rozmyślał radośnie. — Sensacyjny pojedynek!... Interwiewy i fotografowanie... Tryumfalny powrót... Zapominam o najpiękniejszej rzeczy: strzał z pistoletu! To było jednak przygotowane!

By zrozumieć należyte to ostatnie zdanie, trzeba zwrócić uwagę na to, iż Panajon był bardzo miernym strzelcem. Będąc prawie pewnym, iż kula jego nie trafi do celu, choćby nawet stał niedaleko od niego, żądał przy pojedynku dużego dystansu. Nie trafił przeciwnika przy takiej odległości, ale w ten sposób sam się zabezpieczył od jego kuli. Ubezpieczwszy się co do rezultatu spotkania, przedsięwziął środki, by ołśnić zgromadzonych swoją wielkodusznością a zarazem celnością. W tym właśnie celu wyszukał wśród swych narzędzi złodziejskich, świader grubości kuli pistoletowej i wręczając go wraz z ślepą latarką Tefardowi, polecił mu, by w afiszu na ogrodzeniu welodromu wyświdrował dziurę w kropce nad „i“ lub w środku „o“. Tefard wykonał w nocy z łatwością to zlecenie, dzięki czemu Karol Turner mógł nazajutrz zadziwić wszystkich swoją niezrównaną celnością.

XII.

Gdy prasowaczki wyszły wreszcie na ulicę, rozeszły się każda w swoją stronę. Helena miała duży kawałek drogi do zrobienia, by dostać się do swego domu. Leontyna jadła zwykle śniadanie w mleczarni. Stołowała się tam i Berla, przed śniadaniem jednak kupowała sobie zeszyt sensacyjnej powieści, którą czytała przy jedzeniu.

Julia, która zawsze potrafiła znaleźć pretekst do opuszczenia pracy przed swymi towarzyszkami, już przed dwunastą siedziała za stołem w szynku, otoczona swymi przyjaciółkami. Z nimi również jadła obiad z tą tylko różnicą, iż nie w mieście, lecz za fortyfikacjami. Ludwika według swego zwyczaju kupiła sobie kawałek mięsa i wróciła do tego samego domu, w którym pracowała na parterze, a mieszkała na szóstym piętrze. Przeszła przez wybrukowane podwórze i weszła na boczne schody, ciemne i zawsze ośliszłe od wilgoci. Nie spieszyła się. Nikt na nią nie czekał. Jej biedny, mały pokój, czysty lecz pusty, wydawał się jej jeszcze smutniejszym, zwłaszcza, iż nie miała naprzeciw przy stole Ewy. Piękna brunetka znalazła dla siebie miejsce w innej dzielnicy. Byłoby dla niej zbyt męczącym wracać na obiad na ulicę Laugier, lub choćby przychodzić na noc późnym wieczorem, gdy w pralni było dużo roboty.

Ludwika, gdy weszła na ostatnie piętro, stwierdziła, że te oczy są znowu na swym posterunku i z pewnym strachem pomyślała po niewiedomo już który raz, co to może znaczyć. Nie przypuszczała, że to ją właśnie śledzono.

Młoda panna zwróciła się na prawo, by wejść do swego pokoju, gdy nagle zatrzymała się i zbladła jak trup. Na kilka kroków przed nią rysowała się w cieniu wysoka i szczupła postać Piotra Cartalegue'a. Od kilku już chwil czekał tutaj na nią młody człowiek z sercem bijącym jak młotem. Ludwika na widok jego uczuła, że słabnie. Miała jednak tyle jeszcze siły, iż pozostała wyprostowana, lecz nieruchoma i niezdolna do wymówienia choćby jednego słowa. Piotr złożył ręce i hamował się, by nie upaść przed nią na kolana. Wzruszony był ubóstwem Ludwiki w ubraniu robotniczym i chudością jej bladej twarzy, na której szare jej oczy wydawały się jeszcze większe.

— Ludwiko... — szepnął sflumionym głosem.

Przerwał na tem, nie mogąc nic więcej powiedzieć. Ogarnęło go niewypowiedziane uczucie miłości i litości na widok tej, którą uważał za najczystsza i najukochańszą, a zarazem i za niecną. Coś go pchało, by upaść jej do nóg i łkanie zrywało mu się w piersiach. Lecz wyprostował się... Przypomniał sobie listy, podpisane nazwiskiem Karola Turnera, które wyrwał z rąk pana Radoux... Zdawało mu się, że słyszy jeszcze słowa Australczyka: „Jakiem prawnym wymiennie pan tutaj nazwisko tej osoby? Zabraniam panu tego!“

Tymczasem młoda panna opanowała się zwolna. Postawiła na podłodze talerzyk, by nie wydawać się śmieszną i czekała, by Piotr zaczął mówić. Widząc jednak, że milczy, zaczęła:

— Czego pan, sobie ode mnie życzy? — rzekła, starając się pohamować drżenie głosu.

Młody człowiek westchnął nerwowo i szepnął:

— A więc, Ludwiko, to co mi powiedziano, jest prawdą?... Pracujesz w pralni?... Mieszkasz tutaj?...

(Ciąg dalszy nastąpi).